

KAMILA SŁAWIŃSKA

Nowy Jork

przewodnik niepraktyczny



**KAMILA
SŁAWIŃSKA**

(ur. 1972) – studiowała historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim, była związana ze stołecznym Centrum Sztuki Współczesnej. W 1998 roku wyjechała do Nowego Jorku, gdzie mieszka do dziś. Od 1999 roku jako publicystka i recenzentka filmowa współpracowała m.in. z redakcjami „Świata Filmu”, „Filmu”, „Arte” i „Cinema”. Obecnie publikuje na łamach „Tygodnika Powszechnego”. *Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny* to jej książkowy debiut.

Wydawnictwo
ab
two

KAMILA SŁAWIŃSKA

Nowy Jork

Max Cegielski
Pijani Bogiem

Barbara Ehrenreich
Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć

Adam Elbanowski
Nowe Królestwo Grenady

Marc Fernandez, Jean-Christophe Rampal
Miasto – morderca kobiet



t e r r a i n c o g n i t a

Tony Horwitz
Błękitne przestrzenie

Wojciech Jagielski
Dobre miejsce do umierania
Modlitwa o deszcz
Wieże z kamienia

Krystyna Kurczab-Redlich
Głową o mur Kremla

Cees Nooteboom
Drogi do Santiago

Åsne Seierstad
Księżarz z Kabulu

Fabienne Verdier
Pasażerka ciszy

Marcin Wojciechowski
Pomarańczowy majdan

Xue Xinran
Dobre kobiety z Chin

KAMILA SŁAWIŃSKA

Nowy Jork

przewodnik niepraktyczny

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Wydanie I
Warszawa 2008

*Rodzicom
i Robertowi, bez którego Nowy Jork by nie istniał*



prolog na zachód od Dziewiątej Alei

Odpakowałam prezent urodzinowy. Była to moja upragniona litografia, odbitka słynnej grafiki Saula Steinberga, wykonanej dla „New Yorkera” i opublikowanej po raz pierwszy na okładce tego tygodnika w marcu 1976 roku. Steinberg – rumuński Żyd, urodzony w małej wiosce gdzieś na południe od Bukaresztu, którego z Europy wyгнаł wojenny kataklizm – przyjechał do Nowego Jorku w latach czterdziestych. Pracował dla „New Yorkera” jeszcze przed wyjazdem z rodzinnego kraju, był więc w lepszej sytuacji niż inni, którzy przyjechali w tym samym czasie do nękanego Wielkim Kryzysem miasta: miał pracę w jednym z najbardziej wpływowych pism w Stanach Zjednoczonych. W Mieście* natychmiast poczuł się u siebie i wkrótce dołączył do grona tych, których wizja Wielkiego Jabłka tworzyła jego legendę – obraz, w który uwierzyły, i do dziś wierzą, miliony ludzi na całym świecie.

Słynny *Widok świata na zachód od Dziewiątej Alei* oddaje nowojorski punkt widzenia lepiej niż którekolwiek dzieło, jakie zdarzyło mi się oglądać. Oto cała prawda o nas, nowojorczykach, miejskich szczurach i niepoprawnych snobach. My na

* „Miasto”, czy The City, to jedno z przezwisk, pod jakimi znany jest Nowy Jork. Lista nowojorskich *nicknames* znajduje się w Słowniczku.

zachód od West Side Highway widzimy tylko olbrzymią płaską pustynię, na której nie ma nic godnego uwagi. Na zachód od lewego brzegu wyspy Manhattan rozciąga się obcy kraj, którego nie znamy i znać nie chcemy. Mimo że statystycznie podróżujemy więcej niż przeciętni Amerykanie, to raczej nie wybieramy się ku sercu Ameryki. Zresztą trudno nam się dziwić: jest tajemnicą poliszynela, że Ameryka od dawna uważa Nowy Jork za obce, zagraniczne miasto. Może zapomniała się na moment, poruszona wydarzeniami jedenastego września, kiedy ogarnięta współczuciem wysyłała nam czeki, ciepłe skarpety i flagi narodowe, ale tak naprawdę od lat nienawidzi naszej drużyny baseballowej, bo ta była niepokonana w walce o krajowe mistrzostwo i bez cienia wyrzutów sumienia podkupywała najlepszych zawodników innym zespołom. Nienawidzi naszego kosmopolityzmu, naszych liberalnych poglądów, naszych artystowskich gustów. Zdrowe serce narodu, który „wydobył się z dziczy dzięki Biblii i strzelbie”, bije innym niż nasze rytmem: rytmem, którego – samowystarczalni – nigdy nie słuchaliśmy, i może dlatego tak nas przygnębił wynik ostatnich wyborów prezydenckich. Jesteśmy obcym krajem, pięćdziesiątym pierwszym stanem, może nawet osobnym układem gwiazdowym orbitującym wokół wyspy. Nazywamy większość „milczącą”, bo nigdy nie słuchaliśmy, co mówi, ani ona nie słuchała nas. Nie zauważyła też, kiedy kupiła nową wersję amerykańskiego snu – reklamówkową wizję szczęśliwości wyprodukowaną w salach konferencyjnych Madison Avenue... Ale to już inna historia.

To miejsce, tutaj, Pięć Dzielnic, niecałe pięćset mil kwadratowych powierzchni, położonej w znacznej części na wyspach – to nie jest Ameryka. Wiedział to już Henry Hudson, pierwszy Europejczyk, który dopłynął do brzegów tego kawałka świata i postawił stopę na skrawku lądu nazwanym później Manhattanem. Dzielny żeglarz był przekonany, że dotarł do

Chin, i nawet jeśli za jego czasów nie było Chinatown i niezliczonych azjatyckich restauracji na dole Miasta, trudno powiedzieć, by Hudson bardzo się pomylił.

Czy mam prawo mówić „my”? Nowojorczyacy są tak różni – mówią mnóstwem przeróżnych języków, pochodzą ze wszystkich możliwych regionów Stanów Zjednoczonych i z niezliczonych krajów świata. Biali, czarni, brązowi, żółci i czerwoni; kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. A jednak myślę, że mają ze sobą więcej wspólnego niż mieszkańcy któregośkolwiek innego wielkiego miasta na świecie. Tak się dziwnie składa, że Nowy Jork to miejsce, w którym prawie nikt z jego mieszkańców się nie urodził. Nowojorkiakiem każdy się staje, kiedy się tutaj osiedla. Większość przybyła gnana pragnieniem innego życia, wolą wymyślenia siebie na nowo. Nawet jeśli amerykański sen, w jaki wierzyli emigranci lat trzydziestych, oficjalnie należy do przeszłości, tutaj marzenie trwa.

Nie ma drugiego miejsca na świecie, dokąd ciągnęłyby tak przeróżne egzemplarze ludzkiej menażerii. Przyjeżdżają tu dzieciaki zbyt mądre i zbyt zdolne, by umiały się porozumieć z rówieśnikami w Utah czy Nebrasce. Europejscy arystokraci i azjatyccy bogacze, zbyt znudzeni wygodnym życiem, by nie zaryzykować upadku na samo dno. Przestępcy zbyt zuchwali, by wystarczało im wykradanie paru dwudziestodolarówek z kasy miejscowego sklepiku; *drag queens*, które w małych miasteczkach obrzucano kamieniami; artyści zbyt odważni, by znaleźć publiczność gdzie indziej; imigranci zbyt biedni, by mieć coś do stracenia. Nie ma ludzi zbyt dziwacznych jak na nowojorskie warunki. Najbardziej niedopasowani mogą tu znaleźć miejsce dla siebie, jeśli tylko starczy im sił, by marzyć zuchwale (bo tylko najzuchwalsze marzenia się tutaj spełniają) i walczyć o siebie. Miasto wysysie z nich ostatnią kroplę krwi, najostatniejszą iskrę energii, ale pozwoli im żyć w szaleńczym tempie, nigdy nie zwalniać, nigdy nie patrzeć wstecz.

Im bardziej poczują się w domu w tym dziwnym, niepodobnym do innych Mieście, tym bardziej nie będą mogli żyć gdzie indziej. Ameryka jest zbyt amerykańska: zbyt pryncypialna, zbyt przywiązana do purytańskich wartości, zbyt skłonna do nieustannego umartwiania się. Europa – zbyt mała i zbyt powolna, by stanowić wyzwanie. Azja – mimo obfitości egzotyki – nie zawsze dostarcza niezbędnego miejskiemu szczyrowi komfortu. Australia jest zbyt prowincjonalna... Kiedy nowojorczyk wyjeżdża ze swojego Miasta na zawsze, choćby był dotąd nim zmęczony i znudzony ponad wszelką miarę, z nagłym przerażeniem zaczyna rozumieć, że utracił kawałek siebie. I to, że New Yorker to narodowość. Ba, nawet więcej: to wyznanie, dożywotnie członkostwo w hermetycznej sekcji szaleńców, którzy oddali Miastu najlepsze lata swego życia, zgodzili się na niebotyczne koszty utrzymania, zatrucie środowiska, ciasnotę, by w zamian dostać najdziwniejszy z narkotyków: nowojorski *cool*.

A kiedy odbierze im się ten szum krwi w uszach, ten nieustający kołowrót zdarzeń i wrażeń, przystają nagle – opuszczeni, smutni, mimo najlepszych chęci na nowe, inne życie – ze złamanym sercem. Mogą się do tego nie przyznać, są na to zbyt twardzi i zbyt dumni, ale nie śpią po nocach, patrzą w stronę Big Apple i jęczą jak Francis Scott Fitzgerald, kiedy utracił swoje czarodziejskie Miasto: *Come back, come back, o glittering and white!**

10 * „Wróć, wróć, lśniące i jasne!” Tym zdaniem Francis Scott Fitzgerald kończy swój słynny esej *My Lost City* (Moje utracone Miasto).



Saul Steinberg, *Widok świata na zachód od Dziewiątej Alei*



Wieża ciśnień pod flagą biało-czerwoną, Greenpoint

spacer emigracyjny

toń albo pływaj

Co tu dużo mówić, nie była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Dzień, w którym tu przyjechałam, pamiętam jak luźne strzępki zdarzeń: po dziewięciu godzinach lotu wszystko widziałam jak przez mgłę, nawet odebranie walizki z karuzeli było nadludzkim wysiłkiem. Szłam niekończącym się korytarem jednego z terminali JFK ku stanowisku oficerów imigracyjnych, zdenerwowana, zastanawiając się, czy wystarczy im jedno spojrzenie, by przejrzeć mnie na wylot i domyślić się, że przyjechałam, żeby zostać.

Urzędnik był grubawy, mówił z charakterystycznym brooklyńskim akcentem, ale wtedy nie mogłam jeszcze tego wiedzieć. Ujął w parówkowształtne palce moją wypęloną drżącym pismem *boarding card*, z adresem, pod którym zamierzałam się zatrzymać: numer, ulica, New York, Brooklyn, NY, kod pocztowy.

– Oj, nieeeee! – pokręcił głową. – To jest na Brooklynie, nie w Nowym Jorku. Nowy Jork jest za rzeką, wiesz? *You have to swim to get there!* – Czerwony flamaster zamazał moje kulfony i wpisał adres poprawnie. A kiedy już zaczynałam się martwić, że oto zdemaskowano mnie, że zaraz mnie wyprowadzą z rękami na karku, że każą wracać, ciężki stempel trzasnął o kartkę paszportu. *Welcome to New York, and enjoy your stay!*

Tak oto nieznaną mi z nazwiska urzędnik instytucji, którą wkrótce znienawidziłam, wprowadził mnie w pierwszą nowojorską tajemnicę – zasadę, którą powinien opanować każdy, kto jako imigrant przybywa do Big Apple: że najdłuższa droga na świecie prowadzi z Brooklynu na Manhattan.

Błada, zmęczona, niepewna wtoczyłam się z moim paskudnym kuferkiem do hali przylotów. Czy wspominałam już, że rzuciłam pracę, opuściłam wynajęte mieszkanie, rodzinę

i przyjaciół po to, żeby przyjechać do człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałam i nawet nie miałam pojęcia, jak wygląda? No więc tak zrobiłam. Wsiedliśmy do pożyczonego samochodu i ruszyliśmy do miejsca, które odtąd miało być naszym pierwszym wspólnym domem.

Byliśmy obydwój tak wzruszeni, że żadne z nas nie spojrzało dokładnie na mapę. Więc objechaliśmy pół Brooklynu, kawałek Manhattanu i zahaczyliśmy o Staten Island, zanim udało nam się tam dotrzeć.

Pierwsze miesiące w nowym miejscu nie należały do przyjemnych. Szczerze mówiąc, nie było dnia, żebym się nie zastanawiała, czy nie wrócić. Wszystko było zbyt duże, zbyt szybkie, obce – kolory, znaki drogowe, nazwy towarów w sklepach, nawet powietrze pachniało inaczej. Ludzie byli zajęci swoimi sprawami, nieznani, odlegli. Najgorsze jednak, że stałam nagle wobec perspektywy niemoty. Mimo że znałam język całkiem przyzwoicie, zbyt często czułam się jak dziecko próbujące uczestniczyć w rozmowach dorosłych. Zdarzało mi się nagle rozplakać z bezsilnej złości, kiedy w połowie zdania zabrakło mi przymiotnika albo jakiegoś zwrotu.

A do tego wszystkiego byłam nielegalna. Życie bez zawodowego zaangażowania było puste i frustrujące. Tymczasem gdziekolwiek poszłam, na nic było moje doświadczenie, listy z rekomendacjami, wykształcenie. W redakcjach polskich gazet tracili zainteresowanie. W dodatku uregulowanie mojego statusu imigracyjnego zapowiadało się na długą i bolesną przeprawę.

Pieniądze na koncie się kończyły, amerykańskie jedzenie było paskudne, tęskniłam za rodziną i wszystkimi ludźmi, których znałam, a R. przez całe dni był w pracy, więc nie mógł mnie pocieszać. Przysięgam sobie, że raczej wrócę jak niepyszna do ojczyzny, niż zdecyduję się na typową karierę nielegalnych Polek: sprzątanie w bogatych domach.

– Masz – powiedział R., dając mi swoją kartę Social Security, dokument niezbędny do podjęcia w Stanach legalnego zatrudnienia. – Zeskanuj, przysiądź, naucz się paru programów graficznych i zrób sobie fałszywkę. Potem coś wymyślimy.

Przysiadłam. Miesiąc później miałam programy graficzne w małym palcu, ale fałszywka ciągle nie wyglądała tak, jak powinna. Na szczęście zanim ją wyprodukowałam i dałam się z nią przyłapać, zadzwonił znajomy i powiedział, że zarekomendował mnie do pracy. Jedyne, co interesowało pracodawcę, to dobra praktyczna znajomość tych programów graficznych, na których od miesiąca dokonywałam pogwałcenia przepisów federalnych...

Jaki morał z tej historii? Właściwie żaden. Miałam kupę szczęścia, które jest tutaj ważniejsze niż cokolwiek innego. Dlaczego mnie się udało, a tylu innym nie? Przecież codziennie przyjeżdża ich miliony: młodszych, ładniejszych, bardziej zdeterminowanych, z twardszymi łokciami i lepszymi znajomościami. Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że jedyne, w co warto się zaopatrzyć przed wyjazdem do tego okrutnego miasta, które złamało tyle serc i pogrzebało tyle marzeń, to bezczelne przywiązanie do wysokich standardów i wola wymyślenia siebie całkowicie od nowa. Po morderczej walce, jaką trzeba stoczyć, żeby jako tako utrzymać się na powierzchni, świadomość, że przetrwało się w Nowym Jorku, potrafi człowieka uskrzydlić jak mało co na świecie. I dopiero wtedy, jakby z wdzięczności za darowane życie, zaczyna się kochać to miasto niezdrową, namiętą miłością.

Po to chyba istnieje to dziwne, bezlitosne miejsce: by być wyzwaniem i nieustającą szansą dla każdego, komu starczy sił, by zacząć wszystko jeszcze raz i walczyć o to, co sobie wymyślił. Jesteś Europejczykiem, a chcesz być Jankesem? Proszę bardzo. Byłeś księgowym, a chcesz zrobić karierę jako awangardowy artysta? Nic trudnego. Urodziłeś się mężczyzną, a chcesz być seksowną kobietą z dużym biustem? *No problem.*

O ile tylko stać cię, przybyszu, na skok w czarną otchłań, na postawienie wszystkiego na jedną kartę, na otwarcie się na najdziwniejszą okazję, która zastuka do drzwi. Jak tutaj mówią: *sky is the limit*.

Na stacji Union Square zaczarowała mnie grupa bębniarzy. Grali tak, że aż chciało się tańczyć, i śpiewali pięknie zgranymi głosami w jakimś afrykańskim języku. Zajął mi dobrą chwilę, zanim dostrzegłam, że najdrobniejszy z nich, siedzący w środku, z kopą czarnych dredów chłopak to Japończyk. Wyglądał na tak pochłoniętego grą i śpiewem, jakby ta niesamowita, porywająca piosenka, którą właśnie grali, była melodią z jego ojczystych stron, muzyką, z którą wyrósł, która od zawsze stanowiła część jego życia. Nieprawdopodobnie radośnie grali. Tak radośnie, że po kilku sekundach wiedziałam już na pewno, że nie wsiądę do nadjeżdżającego właśnie pociągu. Ani do następnego. Ani do jeszcze następnego.

imigranckie gadanie

Najpierw jest coś jak niespodziewany skurcz, czy może ból odciętej ręki: nie ma to nic wspólnego z wolą lub jej brakiem, po prostu pojawia się i trwa. Wysiadywanie przy komputerze w oczekiwaniu na wiadomości z Polski; straszliwy smutek i uczucie porzucenia, jeśli nie nadchodzą. Nawykowe czytanie polskich gazet, choć dla biegu rzeczy tu i teraz ich zawartość nie ma najmniejszego znaczenia, ale język „New York Timesa” jest ciągle zbyt hermetyczny, a telewizja drażni tematami, które nic a nic nie obchodzą, przywoływaniem nazwisk, które nie niosą żadnych skojarzeń. Co tydzień wyprawy na Greenpoint po znajome słodycze, polską wędlinę, soki z Horteksu. Upokarzające dopraszanie się każdego rozmówcy, by powtarzał to, co właśnie powiedział – dwa, czasem trzy i cztery razy. Pierwsze święta Bożego Narodzenia bez rodziny, wcale nie tak wesołe, jak być powinny. Uczenie się w najbar-

dziej dosłowny i bezpośredni sposób, co oznacza wykorzenie.

A potem zaczyna się zapominać – i samemu zostaje się zapomnianym. Najpierw po kilku miesiącach, czasem po roku, wylatują z głowy znane kiedyś na pamięć numery telefonów. Potem pod stosem nowych wiadomości o topografii i specyfice miejskich środków komunikacji wietrzeją z zakamarków pamięci nazwy ulic dobrze znanego miasta, numery autobusów i tramwajów, trasy i nazwy przystanków z dziesiątki razy pokonywanych marszrut. Później zapomina się o urodzinach kogoś bliskiego. To, że ktoś zapomniał o naszych, też już boli mniej. Życie Za Wodą toczy się własnym rytmem: znajomi robią karierę albo dzieci, biorą kredyty, przestają wychodzić z domu w piątkowe wieczory.

Wreszcie po kilku latach, idąc któregoś ranka ulicą, nagle uświadamiam sobie, że myślę po angielsku. I kiedy to do mnie dociera, przychodzi mi do głowy, że mieszkanie w jakimś kraju jest przede wszystkim mieszkaniem w jego języku, co nie się ze sobą nieoczekiwane konsekwencje.

Mój mózg, od pierwszej chwili nastawiony pozytywnie do mieszkania w innym kraju, przerabiał w miarę sprawnie codzienne transformacje: zamianę odruchowego przepraszam, które w naturalny sposób towarzyszy świadomości, że nie chcący się kogoś potrąciło, na tutejsze *pardon me* czy *sorry*; szybkie przeliczanie w pamięci kilogramów na funty i stopni Celsjusza na skalę Fahrenheita. Rutyna, która, jak wiadomo, jest drugą naturą, szybko pozwoliła poczuć się w miarę pewnie.

Bycie imigrantem w Nowym Jorku nie jest tak trudne, jak gdzie indziej na świecie czy gdzie indziej w Stanach. Wielonarodowa mieszanka kultur, która wypełnia nowojorskie ludzkie zoo, nie pozwala czuć się większym dziwakiem i odmieńcem od innych. W końcu inni także różnią się znacząco – twardym akcentem, kolorem skóry, cudacznymi obyczajami, niecodziennym strojem czy fryzurą – od reprezentujących

wyimaginowaną amerykańską normę pięknych ludzi z seriali i reklamówek nadawanych w TV. Tutaj odmienność pielęgnuje się raczej jak coś cennego, własnego, coś, co raczej stanowi o czyjejs wyjątkowości, niż stara się równać do średniej i rozplynać w masie przeciętnych, błyskających imponującym garniturem wielkich białych zębów Johnów Doe.

Z drugiej strony pojęcie narodowości jest tu rzeczą dużo bardziej umowną niż gdziekolwiek na świecie. *Oh, you're Polish? Me too!* – mówił do mnie (promieniejąc najszczerszą radością) zaprzyjaźniony listonosz Vinnie, który za skarby świata nie wymówiłby „chrząszcz brzmi w trzcinie” i nigdy w Polsce nie był, ale z dumą wywodzi swój rodowód od imigrantów z początku ubiegłego wieku, przesiedleńców z Łomży czy Kalisza. *I'm Puerto Rican* – deklaruje Greg, nasz urodzony na Brooklynie kolega, którego rodzice, także urodzeni już w Stanach, nigdy nie nauczyli się hiszpańskiego. *I'm Italian* – mówi mój szef, syn Włoszki i Irlandczyka, ogłaszając, że w Columbus Day nie będziemy pracowali, żeby uczcić wielkie włoskie święto.

To trochę tak, jakby narodowość była w Mieście czymś, co nabywa się z wyboru, jak designerskie ubranie – ze świadomością, że nie będzie można poczynić takiej inwestycji po raz drugi, i po długim przemyśleniu, czy ten wielki emocjonalny wydatek się opłaci. Noszę więc swoją polskość jak kupioną w przyprawie szaleńczej rozrzutności torebkę od Prady, jak coś, na co nie do końca mnie stać, dlatego oszczędzam, używam od święta. Zresztą jakie mam powody, by było inaczej? Nie ma tu żadnej żywej polskiej wspólnoty, do której chciałabym zgłosić akces. Nie czytam już polskiej prasy. Wrzucona w warszawski tłum, potracając kogoś, bez chwili zastanowienia mówię: *excuse me*. I choć zawsze wydawało mi się, że pielęgnuję zwyczaj mówienia czystą, elegancką polszczyzną, w rozmowie na aktualne tematy łapię się na wtrącaniu angielskich zwrotów.

Kiedy to się stało? Kiedy szafa w ścianie stała się *closetem*, który rozbawił do łez moją mamę? Kiedy znalezienie polskiego odpowiednika dla *bossy* stało się nagle kwestią wysiłku? Przecież zawsze podziwiałam i chciałam naśladować znajomych starych krakusów, którzy po trzydziestu latach życia na amerykańskiej prowincji mówią piękną, literacką polszczyzną. Przecież w domu rozmawiamy po polsku, a duża liczba zobowiązań zawodowych każe pielęgnować umiejętność elokwentnego wypowiedania się w rodzimym języku. Więc dlaczego?

Przyjeżdżam, siedzę parę tygodni, opycham się pączkami od Bliklego, podsłuchuję rozmowy na ulicy – i po powrocie zaczynam powoli rozumieć. Nie ma już kraju, z którego wyjechałam; nie ma już nawet języka, który uważałam za ojczysty. W niesłychanie szybkim tempie język, który uważałam za swój, obrósł nowymi, nieznanymi mi słowami, zmutował. Obrażliwe „zajebisty” nagle stało się komplementem. Ludzie, którzy byli moimi najbliższymi znajomymi, wychowani w podobnym otoczeniu, słuchający tej samej muzyki, czytający te same książki, nagle używają nowych słów, których znaczenia ledwie się domyślam. Język, który myślałam, że znam, żyje własnym życiem, dalekim od mojego. Kiedy wydaje mi się, że mówię po polsku, używam zaledwie na wpół wymarłego dialektu nieistniejącego państwa jednego człowieka.

A jednak w miejscu, które z przekonaniem i miłością nazywam domem, robi mi się smutno, kiedy rzucając w słuchawkę telefonu *I'll touch base with you*, zdaję sobie sprawę, że dla mnie to pusta fraza, bo nie mam pojęcia o grze w baseball. Mimo lat karmienia się wyrafinowaną angielszczyzną „New Yorkera” nie zawsze rozumiem dowcipy. I w języku starego kraju, i w narzeczu nowego – żyję w ciągłym pomiędzy, na zawsze jestem cudzoziemką. Gdzie indziej pewnie byłoby mi z tym ciężko, ale na szczęście mieszkam na wyspie, której na drugie imię dano Babel. Pomieszanie języków, to nieustanne,

płynące z każdej strony *blah-blah-blah* i *yade-yade-yade*, jest tu w zasadzie jedynym językiem urzędowym.

zielona kropka

Żeby zrozumieć, czym jest to miejsce – osławione, wyśmiewane, przeklinane przez wielu, którzy tu kiedyś mieszkali lub choćby tylko mieli jakieś interesy – najlepiej przyjechać w sobotę przed południem, kiedy tłumy Polaków zjeżdżają tu na zakupy lub tylko połazić. Jeszcze lepiej, kiedy to jest sobota przed dużymi świątami, Bożym Narodzeniem albo Wielkanocą. Cała główna arteria dzielnicy, Manhattan Avenue, jest wtedy poobstawiana po obydwu stronach autami na nowojorskich i jerseyjskich numerach, a chodniki zatłoczone stadami rodaków – z dziećmi, z torbami, z komórkami. W takim zagęszczeniu widać jak na dłoni wady i zalety tutejszych Polaków, ich przyzwyczajenia i słabości, ich upodobania i nawet małe, wredne nienawiści (jeśli takie mają). Dużo ich: według najnowszych statystyk w Nowym Jorku mieszka około pół miliona Polaków, większość na Greenpoincie.

Przyjechali tu, najczęściej uciekając od nędzy, bezrobocia i beznadziei małych miasteczek. Z Polski B, gdzie nigdy nic się nie zmienia na lepsze, a jedyną rozrywką jest popatrywanie z okna, co też się dzieje u sąsiadów. Przyjeżdżali od ponad dwudziestu lat i pracowali bardzo ciężko: mężczyźni, zdzierając poszycia azbestowe lub tachając *two-by-fours* na budowach; kobiety, sprząając „na domkach”, najczęściej u bogatych Żydów, oferujących całotygodniową pracę z zamieszkaniami. Pracowali, odmawiając sobie wszystkiego, nie nawiązując swoich pracodawców i samych siebie za upodlenie, w jakim często przychodziło im zarabiać na życie. Niektórzy pili. Innych dobiła azbestoza. Jeszcze inni załamywali się i po paru latach wracali do kraju, z pieniędzmi nie tak wielkimi jak w marzeniach, z którymi jechali do Ameryki, ale dość niezły-



Swojskie klimaty, Greenpoint

mi, by zacząć wszystko od nowa. Ci, co przetrwali i zostali tu, z czasem dorobili się niezłych samochodów i domów, które natychmiast wynajęli innym Polakom, przyjeżdżającym z ojczyzny wikłającej się w coraz większe tarapaty gospodarcze. Ciułali, złorzeczyli. Niektórzy kradli, jeśli było trzeba, ale budowali, własnymi rękami, aż zbudowali Drugą Łomżę.

Ta dzielnica, niegdyś jedna z pierwszych holenderskich osad na Brooklynie, nie nosi już piętna kultury swoich założycieli. Po holenderskich składach artykułów kolonialnych zostały zaledwie nazwy ulic w północnej części dzielnicy, ale dziś w porze kolacji India i Java Street, gdzie dawniej snuł się zapach imbiru i goździków, pachną schabowym i kiszoną kapustą. To tutaj, na północ od stacji metra przy Greenpoint Avenue, to nie jest jeszcze to osławione Polaczkowo, z którego tak bezlitośnie naśmiewał się Redliński. Aby je znaleźć, trzeba stanąć plecami do pięknych, starych kamienic Noble, Kent i Milton Street, zabytkowej, pamiętającej początki dziewiętnastego wieku greenpoinckiej „starówki”, i iść w dół Manhattanu, w stronę Driggs Avenue, gdzie stoi kościół Świętego Stanisława Kostki, serce polskiej wspólnoty w tej części Brooklynu.

Spacer w dół będzie przyjemny, jeśli akurat nie wpadnie się na pracę przed siebie jak ruski lodołamacz sfrustrowaną matkę Polkę, obwieszoną ciężkimi torbami pełnymi świątecznych zakupów. Albo na parkę młodych gniewnych, którym świeżo zarobione pierwsze amerykańskie pieniądze dały poczucie wszechmocy, objawiające się bezpardonowym taranowaniem bliźnich w drzwiach sklepów i restauracji. Większość rodaków będzie w sobotnie przedpołudnie zbyt zajęta staniem w przedświątecznej kolejce u wrót legendarnej wędliniarni „Kiszka” na rogu Greenpoint Avenue albo w sklepie mięsny „Stanley’s”, na Nassau, którego załoga nosi firmowe koszulki z napisem „Kielbasa Power”, by niepokoić przybyszów. Można iść i podziwiać, podziwiać i iść.

Na Manhattan Avenue, kilkanaście metrów przed strzelającą w górę neogotycką fasadą kościoła Świętego Antoniego, jest teraz – oblężona o każdej porze – mała cukiernia. Gromadzą się tam wszyscy spragnieni kremówek i wuzetek zapamiętanych z niedzielnych wypraw „po kościele”, dawno temu, w dzieciństwie. Niżej – polskie przychodnie i polskie delikatesy, polskie restauracje, polskie agencje. Polskie kosmetyki. Polskie karty telefoniczne, polska wróżka i polskie księgowo. Polska obsługa w bankach i nielicznych tu sklepach wielkich sieci. Polskie reklamy na wielkiej drogerii, która zajęła miejsce jedyne w dzielnicy teatru. Polski klub „Europa”, strategicznie ulokowany obok posterunku policji. Bar z polskim kuflowym piwem, oferujący szczyptę peerelowskiej nostalgii: pieczarkowo-serowe zapiekanki, przysmak chudych lat osiemdziesiątych. Gdyby nie charakterystyczne elementy tutejszej architektury – stalowe schodki przeciwpożarowe i zbiorniki wodne na dachach – wyglądałoby to jak małe polskie prowincjonalne miasteczko, teleportowane prosto z kraju nad Wisłą.

Na rogu, przy stacji metra Nassau Avenue, polski bar z wielkim talerzem satelitarnym na dachu, gdzie wieczorami zbierają się przy piwie fanatycy piłki nożnej, by oglądać transmisje europejskich rozgrywek. Naprzeciwko, na samym rogu ulic, inna miejscowa atrakcja: grupka zniszczonych wódką pijaczków wlewa w siebie tani alkohol z małych butelek ukrytych w papierowych torebkach. Pijaczkowie zwykle wystający na rogu klną po angielsku i po polsku; trudno wyczuć, który z brzęących równie bełkotliwie w ich ustach języków jest ich ojczystym. Stoją tak świątek piątek, paradoksalnie niezniszczalni, zakonserwowani wódką jak żywe mumie. To z ich przyczyny wzniesiono wysoki, kolczasty płot wokół skweru noszącego imię Księdza Jerzego, gdzie popołudniami starsze panie grzeją się w słońcu, wpatrzone w spiżowe popiersie Popiełuszki otoczone kwietnymi klombami. Nikt już nie nasika męczennikowi na cokół.

Na polskich pralniach i polskich agencjach pośrednictwa pracy Polacy wywieszają ogłoszenia: „Pokój przechodni do wynajęcia dla pani bez nałogów, Ridgewood”; „Odkupię plejisy”; „Praca dla mężczyzny z angielskim”. Może to już ostatnie takie ogłoszenia, jakie Greenpoint widzi: era szczuropolaków powoli tu przemija. Ci, co przyjeżdżają teraz – młodszy, żyjący bliżej bogatej Europy, ambitniejsi, lepiej władający językiem – nie pozwalają się już traktować tak jak ci, którym amerykańska kultura popularna zawdzięcza niezliczone *Polish jokes*. Ci starsi, którzy mieszkali tu od lat (czasem po ośmioro i więcej w maleńkich, ciemnych mieszkaniach typu *railroad*, ciasnych kiszkach z dwoma tylko oknami na węższych końcach), ci, którzy już się nie zmieniają, wynoszą się, w miarę jak napływ anglojęzycznych lokatorów z zasobniejszymi portfelami winduje czynsze w okolicy. Nie znajdą dla siebie miejsca wśród nowych lokatorów: kolorowych anglosaskich młodziaków, co zwiedzają w zachwycie polskie delikatesy i w zdumieniu pokazują sobie białe kiełbasy i kaszanki, wymieniając ścisłym głosem komentarze: *Did you see THAT?*

Zostają ci, co mają tu majątek i rodziny, ci, co latają w Wielką Sobotę z koszykami do Świętego Kostki, ci, co kupują co tydzień kabanosy u „Kiszki”. Polscy imigranci, którzy zdecydowali się zostać, wiedząc, że ich dzieci, urodzone tutaj, nawet jeśli ciągle mówią po polsku, będą już Amerykanami. Oni sami przez lata starali się, z różnym skutkiem, wrosnąć w to nowe miejsce, w którym przeżyli tyle pracowitych lat, spełniając po swojemu wielki sen tego kraju: marzenie o zbudowaniu sukcesu własnymi rękami, od zera, od fundamentów. Teraz godzą się na to, że bohaterami ich dzieci będą raczej Joe DiMaggio czy Derek Jeter* niż Boniek i Małysz. Że pokolenie, dla którego dobra zdecydowali się na tyle wyrzeczeń, będzie już należało do innego świata. Czasem wbrew sobie, ale szanując ich

* Znani gracze New York Yankees (patrz Słowniczek).

i podziwiam determinację, nawet jeśli ich spojrzenie na świat, zainteresowania i poglądy są nieskończenie dalekie od moich. Zostawili kawał życia za Wielką Wodą, zdobyli się na odwagę, by jechać w nieznaną i zaczynać wszystko od nowa – i przetrwali. Nauczyli się żyć w tym okrutnym Mieście, między ludźmi z zakątków świata, o których istnieniu nawet nie wiedzieli. Teraz uczą się żyć wśród wprowadzających się do okolicznych kamienic kolorowych dzieciaków, artystów i studentów, dla których zabrakło miejsca na coraz droższym i coraz bardziej przereklamowanym Williamsburgu, dzieciaków, które chodzą do polskich delikatesów jak do muzeów i z rozdziawionymi gębami oglądają kaszanki i kluski śląskie.

Codziennie widzę to wszystko z bliska: paradę narodowych wad krainy, co zawsze „pawiem narodów była i papugą”, ale i ciężką, uczciwą pracę. Małomiasteczkową ksenofobię i entuzjastyczną amerykańską. Znieczulicę, która pozwala bezdomnej starszej kobiecie spędzać samotną Wigilię w zimnym hallu bankowym, z walizką, której nie ma gdzie zabrać, i nagły przypływ jedności narodowej, manifestującej się szlochami w kościołach i wieszaniem żałobnie ozdobionych portretów papieża w każdym polskim sklepie. Nie lubię tej małomiasteczkowej Polski, z której wychodźcy zbudowali tę dzielnicę, ale lubię myśleć, patrząc na te rozwrzeszczane, jasnowłose dzieci o ziemniaczanych twarzach, że być może w nich właśnie jest nadzieja. Że może właśnie tutaj, między polskimi Amerykanami, urodzonymi i wychowanymi na tym dziwnym, pełnym absurdów, małych świąt i wielkich poświęceń Greenpoincie wykluje się jakaś nowa jakość, która pozwoli wspierać rodaków, pielęgnować kulturę Starego Kraju, szanować jego trudny, śmiesznie brzmiący język, w którym napisano tyle pięknych wierszy. Skoro odkąd świat światem jedyne ziemskie raje to raje utracone, może ci, co Stary Kraj znać będą raczej z opowieści niż z doświadczenia, pokochają go tak, jak ja – mimo najlepszych chęci – nie potrafię.

ocaleni

Ci, co przeżyli, przyjechali tutaj. Tylko tyle zostało im siły: żeby dowlec obolałe dusze i ciała wycieńczone niekończącymi się uciezkami na drugą stronę Oceanu. Do portu, do którego – jak obiecywał wieki wcześniej Henry Hudson swoim holenderskim chlebodawcom – „tysiąc okrętów pożeglować może ku bezpiecznemu schronieniu”. Stąd nie widać było brzegów obojętnej Europy, która pozwoliła, by to się stało. Gwar, pośpiech i konieczność przetrwania zajmowały umysły na tyle, by nie przywoływać strasznych wspomnień.

Nie dali rady iść dalej, więc przysiedli tam, gdzie wyrzuciła ich ludzka fala wylewająca się z Ellis Island: na dolnym Manhattanie i na zachodnich brzegach Brooklynu. Nie chcieli uczyć dzieci języka starego kraju, czyli angielskiego, w którym pętały się przeróżne słówka z jidysz. Budowali od fundamentów domy, synagogi i sklepy. Kiedy już było ich na to stać, wstawiali w oknach kraty, nawet na wysokich piętrach. I chociaż od ich przybycia tutaj minęły dziesięciolecia, wciąż boją się prześladowań i ufają tylko swoim. Może dlatego, że zostawili za wodą dawnych sąsiadów, którzy, choć nie Żydzi, także stracili wszystko w wojennej pożodze, którym wymordowano bliskich, którzy przywykli do ukrywania się i uciekania; nie było blisko nikogo, kto by rozumiał ich obawę, dzielił ich niepewność.

Kiedy już ci pierwsi ocaleni wrosli w nowe miejsce i wychowali dzieci na Amerykanów – a przynajmniej nowojorków – zjawili się następni. Najpierw ci z Kambodży, dwadzieścia lat później z Bośni i Kosowa, potem z Rwandy. Tak samo wycieńczeni i tak samo dźwigający w sobie straszliwy żal do ludzkości o to, że nic a nic nie zmańdrała. W nowojorskim zgiełku uczyli się powoli nie drżeć na dźwięk wybuchających fajerwerków nad East River w Święto Niepodległości. Urodzo-

ne w Ameryce dzieci ocalałych napisały najpiękniejsze książki, jakie to miasto czytało, namalowały najbardziej wzruszające obrazy, nakręciły filmy, na których miliony ludzi na całym świecie szlochało ze wzruszenia. To, czego pierwsze pokolenie nie potrafiło nawet wyrazić, zostało wypowiedziane w drugim. Może to dowód na nieśmiertelność wspomnień? A może na leczniczą naturę opowieści?

Ocaleni z wielkich rzezi dwudziestego wieku przynieśli Miastu swoją wiedzę o tym, o czym nowojorczyacy nie myśleli zbyt często: że człowiek jest śmiertelny i że jest najokrutniejszym, choć jednocześnie najbardziej zdumiewającym ze stworzeń. Mówili o tym. I dziś nietrudno spotkać w Nowym Jorku człowieka, który powie: „Z mojej rodziny nikt nie ocalał” i nie skłamie. A jednak przez lata my, urodzeni z dala od zbiorowych grobów, słowo „horror” kojarzący jedynie z filmem o wilkołakach, traktowaliśmy ich z lekką półserio, jak odrobinę zbzikowanego wujka, co nie potrafi przestać opowiadać ciągle tej samej historii o wojnie. Trzeba nam było zobaczyć z bliska nagłą śmierć: znajomych, sąsiadów, współpracowników, rodziny, by ogarnąć umysłem choćby okrucieństwo ich straty, zbliżyć się o krok do tajemnicy ich gigantycznej woli życia.

I chociaż ludzkość co dzień udowadnia, że nie potrafi uczyć się na własnych błędach, czasem, słuchając, jak nowojorczyacy mówią o cudzie ocalenia – takiego wielkiego, kiedy trzeba było uciekać przez morza i kontynenty, czy takiego małego, do którego wystarczyło przebiec kilka przecznic – można mieć cień nadziei, że coś nowego narodzi się tu jednak z tego chwilowego przebłysku zrozumienia.

szanowny urząd

Nie pamiętam już, jak przywędrował do mnie wiersz, z którego nawet po jednym przeczytaniu zapamiętywało się ostatni fragment:



New York Shtetl

Dajcie mi waszych znużonych i biednych,
Stłoczone masy łaknące wolności,
Od brzegów ludnych odtrącony ród.
Bezdomnych, rozbitków, tych przyjmę w gości,
Pochodnię podnoszę w progu złotych wrót!

Piękny wiersz, jak wiele wierszy napisanych przez młode, wykształcone idealistki z dobrych domów. Niewielu jednak z tych panienek, co to składają piękne wiersze z braku bardziej produktywnego zajęcia, udaje się sztuka, jaka się udała autorce *The New Colossus*, Emmie Lazarus. Ta dama zdołała zarzeć zaledwie w czternastu liniijkach najbardziej uwodzicielski i nieśmiertelny mit Ameryki: obietnicę nowej ojczyzny. Za sprawą jej słów stalowy kolos, który hojni Francuzi zamysłili jako symbol oświeconej Republiki, zmienił się w znak powitania dla rozbitków, pielgrzymów spragnionych dobrobytu i wolności. Nie ma chyba przybysza, który nie niósłby w głowie i sercu obrazu gościnnie wznoszącej pochodnię Lady Liberty, kiedy ląduje w Ameryce po raz pierwszy. Nawet jeśli teraz przybycie do Nowego Jorku przez szare korytarze lotniska JFK nie przypomina triumfalnego lądowania w nowojorskim porcie, zachwycającym od pierwszego spojrzenia na strzeliste budynki Downtown.

Jest jeden kłopot z taką piękną poezją: przez jej cudowność trudno przyjąć do wiadomości ponurą rzeczywistość. A dopada ona człowieka już przy wejściu do budynku znajdującego się pod adresem 26 Federal Plaza. Tu właśnie, na kilku piętrach bardzo wysokiego biurowca, mieści się nowojorski oddział federalnego Urzędu Imigracyjnego.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam kolejkę interesantów próbujących wejść do siedziby INS*, nogi się pode mną ugięły. Ileż desperacji, nieszczęścia, znużenia i rezygnacji już od pro-

* Immigration and Naturalization Service – służba imigracji i naturalizacji.

gu! Ludzie ze wszystkich możliwych krajów świata, niekiedy z całymi rodzinami, z małymi dziećmi, których nie było z kim zostawić, z kurczowo ściskanymi w dłoniach dokumentami w języku, którym nie władają, stłoczeni w długachnej kolejce wepchniętej między stalowe barierki. Przy wejściu stoi zwykle jeden oficer, który nie udziela żadnych informacji. Szczęściarze, którym uda się w końcu przejść przez bramkę wejściową, często dowiadują się osiem pięter wyżej, że przyszli nadaremnie, bo ich sprawy i tak nie da się załatwić, *fuggheboudit*.

Wychowałam się w kraju, w którym absurdy biurokracji były nieodłączną częścią codzienności, więc kiedy szacowny Urząd odesłał mi z powrotem aplikację o przyznanie stałego pobytu z powodu załączenia jednej kopii dokumentu za dużo, nie wściekłam się: najważniejsze, że ostatecznie dokumenty przyjęto. Teraz należało tylko czekać.

Urząd tymczasem myślał i myślał, rozważał, zastanawiał się, ważył za i przeciw, rekapitulował, dywagował, sortował, weryfikował i pieczętował. Postanowił jednak być łaskawy: po jakichś ośmiu miesiącach od złożenia aplikacji ja, ślubna małżonka obywatela Stanów Zjednoczonych, zostałam uznana za *persona grata* i zavezwana do zgłoszenia się po tymczasowe pozwolenie na pracę. Rozpromieniona, udałam się skoro świt do budynku przy 26 Federal Plaza (wejście od Worth Street, tylko dla petentów z wyznaczonym terminem audyencji). Bramka, winda, korytarz, kolejna bramka, skrzynka, do której należy wrzucić list audyencyjny i czekać; dalej wielka poczekalnia jak na lotnisku i znowu tłum ludzi.

Ludzie gadają. Dzieci płaczą z nudów. Głośnik wyczytuje egzotyczne nazwiska, trzymając się wytrwale anglosaskiej wymowy. Wreszcie z niejakim trudem rozpoznaję w wyplutym przez charczący głośnik ciągu dźwięków swoje niemiłosiernie zniekształcone nazwisko. Wstaję. Podchodzę. Witam się. Urzędnik odbija mój palec wskazujący w przeznaczonym do tego okienku, podtyka papier: *Sign please*. Podpisuję. Odsyłają

do poczekalni. Czekam. Wołają. Biegnę. Wystawiam ucho do zdjęcia. Znowu odsyłają. Mijają trzy godziny. Wreszcie wołają po odbiór upragnionego dokumentu. Biegnę ochotczo. Podchodzę, odbieram, patrzę... a tam moje nazwisko z błędem napisane! Zwracam się do oficera w miejscowym narzeczu: panie, jak mam odbierać, skoro jest źle? Ten patrzy na mnie jak na raroga i mówi, że jak mi się nie podoba, to mogę nie brać (*it's a free country*), ale wtedy czeka mnie kolejna opłata urzędowa i następne osiem miesięcy czekania. Rezygnuję. Dokument ważny tylko rok, da się przeżyć.

Wysyłają dwa piętra niżej, do działu zajmującego się wnioskami o wydanie numeru Social Security. Wchodzę. Wypełniam formularz. Przedstawiam pani za biurkiem swój *casus*: błąd, pomyłka, teraz w kwestionariuszu wpisane poprawnie. Pani patrzy szklanym wzrokiem, wyjmuje mi z ręki kwestionariusz i bez słowa skreśla to, co wpisałam tam poprawnie, i nadpisuje z błędem. Komunikat jest jasny: Wujek Sam wie lepiej, jak się nazywam.

– To duży kraj i wszystko tu mamy większe niż gdzie indziej, nawet durniów – podsumowuje R. filozoficznie, kiedy opowiadam mu o wszystkim.

Półtora roku później mamy się stawić na przesłuchanie w sprawie mojej zielonej karty; obydwójce, z pełną dokumentacją i prawnikiem, jeśli go mamy. Nie mamy. Po rodzinnej naradzie uznaliśmy, że to nie proces karny i obejdziemy się bez prawnika, w końcu obydwójce przyzwoicie władamy językiem urzędowym, pochodzimy z kraju, który w tamtych latach starał się o przyjęcie do Unii Europejskiej, papiery wypełnione poprawnie... Co nam mogą zrobić?

Przybywamy. Po czterech godzinach zjawia się nasz oficer. Na moje „dzień dobry” krzywi się. Sadza nas w gabinecie... i zaczyna się. Spodziewaliśmy się takich pytań, ale po chwili okazuje się, że w materii znajomości siebie nawzajem jesteśmy, jak na urzędowe standardy, rażąco niekompetentni.

Robimy fatalne wrażenie. Dukamy odpowiedzi, jak to ludzie, którzy szczęśliwie żyją razem od dłuższego czasu i nie przywiązują wagi do głupot: fikcyjne małżeństwa częściej kują na pamięć genealogie, opanowują najdrobniejsze detale, odpowiadają bez zastanowienia. Urząd nie dba o to, czy ja wiem, jaki album Wishbone Ash mój mąż lubi najbardziej, Urząd chce usłyszeć, gdzie pracują jego rodzice. Moje ulubione filmy nie poruszają Urzędu ani trochę. Urząd chce wiedzieć, kiedy są moje urodziny, i nie rozumie, że mój mąż nie pamięta daty własnych. Wreszcie urzędnik prosi o rozliczenia podatkowe z ostatnich lat i tu okazuje się, że Urząd jest z nas głęboko niezadowolony. Groźnie wymachuje paluchem swego przedstawiciela. Domaga się dodatkowej dokumentacji. Każe wracać do domu i czekać na pismo. Wychodzimy, idziemy w górę Broadwayu, w upalne popołudnie dwudziestego trzeciego sierpnia 2001 roku: ja zapłakana, R. wykończony. Wymagane dokumenty dosyłam kilka dni później.

Mija rok, potem jeszcze jeden. Dzwonimy, piszemy, wysyłamy kolejne prośby o informację, żadnej odpowiedzi. Urząd nie udziela informacji, nikomu, o niczym, amen. Tymczasem tuż przed Bożym Narodzeniem w Polsce, w moim domu, wydarza się coś niewyobrażalnie straszego, a ja nie mogę tam pojechać, bo opuszczenie kraju przed zakończeniem postępowania imigracyjnego oznacza jego natychmiastowe przerwanie (prawnik mówi: proszę zapomnieć o *advance parole*, ludzi z lotniska deportują bez dyskusji!). Wyję, chodzę po ścianach, gryzę palce. Na szczęście przychodzi wiosna, a wraz z nią list: przyznano mi stały pobyt. Kupujemy szampana – i bilety do Polski.

I dopiero przy okazji załatwiania pieczętki w paszporcie dowiaduję się od nieoczekiwanie spotkanego urzędowego anioła – z tych niepozornych, co w niepojęty sposób potrafią obejść każdą proceduralną przeszkodę – że moja sprawa była rozpatrzona pomyślnie już trzy lata temu. Że z punktu widze-

nia Urzędu od lat jestem posiadaczką *green card*, o czym ja-
koś nikt nie raczył mnie zawiadomić. Innymi słowy, że tamten
naburmuszony urzędas musiał chyłkiem przystawić na aktach
stempel APPROVED i nic mi nie powiedział. Skazał mnie na trzy
lata rozpaczy i pełnego lęku czekania na niewiadome tylko dla-
tego, że mógł, że bawiło go poczucie wszechwładzy, którym
on, naburmuszony człowieczek, może się upajać za każdym
razem, kiedy przychodzi do niego para takich ludzi jak my.

Moja historia nie jest ani straszniejsza, ani bardziej absur-
dalna od innych. Na jej końcu jest *happy end*: lotnisko Okęcie,
dużo łez, tym razem radości, i najpiękniejsze w życiu wakacje.
Chociaż może nie: na końcu tej historii jestem ja, idąca przez
dolny Broadway i myśląca w swoim wrednym mózdzku: Panie
Boże, czemu to musiało być World Trade Center, a nie 26 Fe-
deral Plaza?

I nie jest mi z tym dobrze. I myślę, że przez bezdusznych
urzędasów, przez upokorzenia i niepewność jutra wylazł ze
mnie zły człowiek. Powinnam się wstydzić. Zwłaszcza że za-
raz potem staje mi przed oczami owa anielica w ciele starej
Żydówki i z uśmiechem mówi: proszę się nie martwić, jakoś
to załatwimy. I jeśli 26 Federal Plaza ocalało, to tylko dlatego,
że ona tam była. Że wielkie, współczujące serce starej urzęd-
niczki wystarczyło za dziesięciu sprawiedliwych, których nie-
gdyś zabrakło do uratowania Sodomy i Gomory.

zdrajcy! zaprzańcy! sprzedawczyki!

Ł. przyjechał upalnym latem 2000 roku. Chciał zostać, ale
nie układało mu się. Poznał Nowy Jork od najczarniejszej
strony, od jakiej poznać go mogą tylko nielegalni emigran-
ci bez grosza przy duszy. Sypiał na dachach i na plaży nad
Atlantykiem, cały dobytek nosił w małym plecaku. Potem zna-
lazł lokum gdzieś na Greenpoincie, w stadku szczuropolaków
gnieźdzących się w pięciu w małym mieszkaniu. Nie inte-

resował się pić wódkę, co szybko przysporzyło mu wrogów; aby jakoś żyć, zamykał się w swoim pokoju, barykadował drzwi listwą *two-by-four* i tam w spokoju słuchał muzyki i czytał książki. Przeżył pożar drewnianego domu, w którym mieszkał, potem życie bez adresu. Ale kiedy przyszła zima, postanowił wyjechać. Byliśmy przekonani, że wróci, ale ten raz, kiedy widzieliśmy go na spotkaniu u wspólnych przyjaciół, był naprawdę ostatni. Nie wiemy, co było z nim dalej.

T., koleżanka R. ze studiów, drobna, wdzięczna Japonczka o pospolitych, ale niepozobawionych uroku rysach, mówiąca po angielsku z pewnością kogoś, kto spędził w Big Apple większość życia, stała się moją bohaterką po tym, jak R. opowiedział mi o bohaterskim starciu T. z czarnym salcesonem (jadła, dopóki nie dowiedziała się, z czego to jest). R. pomagał jej w problemach z komputerem. W rewanżu niezmiennie kupowała mu bony prezentowe do Blockbusters. Jakiś czas po studiach złapała fuchę na Hawajach. Na święta tamtego roku przysłała kartkę, kilka uroczych drobiazgów i prośbę o pomoc w przygotowaniu taśmy demo, którą miała wysłać do nieznannej firmy gdzieś w Nowej Zelandii. Jej nazwisko zobaczyliśmy później w napisach końcowych największego przeboju filmowego roku 2001... I tyle.

S. był fenomenalnym kompanem do narzekania. Narzekało się z nim sto razy fajniej niż z Polakami, bo był piekielnie inteligentny i jadowicie złośliwy, sesje narzekania przechodziły więc w ironiczny kociokwik, suto zakrapiany zacnymi trunkami. Strzelisty, chudy Grek z kanadyjskim paszportem pochodził z dyplomatycznej rodziny i miał nienaganne manieiry. Mimo swego cholerycznego temperamentu południowca obraził się na nas tylko jeden, jedyny raz: zapomnieliśmy mu powiedzieć, zapraszając na nasiadówkę z kilkoma znajomymi, że rano tego dnia wzięliśmy ślub. Wybaczył po jakimś czasie, ale był wstrząśnięty: nie daliśmy mu szansy złożenia nam oficjalnych gratulacji i przyjscia na spotkanie w smokingu.



Mewy à la Hitchcock, Coney Island



Zniknął bez śladu w lecie 2002 roku. Szukamy go od tamtej pory.

Nie było osoby, która by nie lubiła M. Radość życia M. była zaraźliwa. W jej gościnnym domu zawsze się udawało znaleźć rozwiązanie spraw beznadziejnych, upić się na wesoło, roześmiać, kiedy nie było do śmiechu. Miała mnóstwo znajomych, ale z niepojętych powodów była sama. Kiedy pojawił się Mr. Right, mimo wahań wyjechała. Dzwoni często ze swojego domu w San Lorenzo. Opowiada o Golden Gate Bridge, o wycieczkach do winnic Napa Valley. Ale kiedy mamy się żegnać, głos jej mięknie. Pyta: – Co grają w Angelice? Czy jest jeszcze ten bar na Orchard Street... no wiesz, tam gdzie kiedyś byliśmy?

Th., zwalisty Bawarczyk o twarzy przerośniętego barokowego amorka, urodził się, aby zostać nowojorczykiem. Był duszą każdego przedsięwzięcia, w które się angażował, i słynął z organizowania obłąkańczych przyjęć. Pełno było na nich ślicznych dziewczyn i rozmawiało się w czterech językach, równie często o sztuce, co o dupie Maryni. Nad ranem można było popatrzeć z dachu, jak nad Brooklynem wschodzi słońce.

Ożenił się, a jego żona nienawidziła NY. Spakował się więc, biedaczek, i siedząc już na walizkach, urządził pożegnalne bawarskie śniadanie. Przybyły sezonowe modelki, kanadyjscy poeci, węgierscy fotografowie... przybył *Bratwurst* i niemieckie piwo. Bawiliśmy się tak szampańsko, że nikt nie zauważył, kiedy Th. wezwał taksówkę i pojechał na lotnisko.

Pracuje teraz dla wielkiego koncernu samochodowego. Ma syna. Pisze rzadko, ale wiem, że nie zrezygnował z prenumeraty „New Yorkera”.

Nie mam do was żalu, przyjaciele, że nie zostaliście tutaj. I nie mam żalu, że się nie odzywacie. Kiedy brak mi was tak jak teraz, bardziej, niżbym sobie życzyła, myślę (i wybaczcie mi to), że w Atenach, Gdańsku, Wellington, czy gdzie jesz-

cze zaniósł was losy, budzicie się czasem o dziwnych godzinach... I nawet jeśli zapomnieliście o wszystkim i wszystkich, wbrew sobie słyszycie, jak Miasto, Które Nigdy Nie Śpi, jak syrena woła was przez morze.

life is too short not to be Irish

Jeszcze ponad dwa tygodnie do święta Wiadomego Patrona, a już w kwaciarniach, sklepach z bibelotami, a nawet w sklepach spożywczych i drogeriach aż zielono od irlandzkich koniczynek. Już za moment cukiernie wypełnią się okrągłymi *doughnuts* z dziurką, udekorowanymi zielonym lukrem, a szyldy na barach obwieszczą specjalne, promocyjne ceny piwa Guinness z okazji Saint Paddy's Day. Sklepy z upominkami otrzymały już tegoroczną dostawę okrągłych znaczków z napisem *Life's too short not to be Irish*. Sprzedają się jak ciepłe bułeczki.

Nic dziwnego: sześć procent nowojorczyków deklaruje się jako osoby pochodzenia irlandzkiego, a w Mieście liczącym osiem milionów mieszkańców oznacza to, że jest okazja, by sprzedać góry znaczków, breloczków i zielonych ciastek. Jasne – handel, obrót i zysk to słowa, które w Nowym Jorku są zrozumiałe... ale jest coś jeszcze. Coś, co sprawia, że całe to zielone szaleństwo, które opanowuje miasto na kilka marcowych dni, wydaje się czymś więcej niż tylko konsumpcyjną hucpą.

W sumie pod względem historii Irlandczyków niewiele różni od nas, Polaków: nieduży, dumny naród, prześladowany przez potężnego sąsiada, który okupował ich kraj przez długie lata, z niebywałym okrucieństwem tępiąc ich kulturę. Ponoć mają podobny do Polaków temperament. Może dlatego przez lata stawiali zaciekle opór Anglikom i mimo przewagi tamtych przetrwali, wbrew naukowym przewidywaniom najeźdźców; może nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi. Z Zie-

lonej Wyspy wygnał ich dopiero Wielki Głód Ziemniaczany 1845 roku. Wtedy zaczęli wyjeżdżać do Ameryki i osiedlać się w pierwszym miejscu, gdzie powstała ich stopa: na skrawku kamienistej ziemi między East River i Hudson. Miejski spis powszechny z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku wymienia ich tyłu, ilu jest teraz nowojorskich Polaków: ponad pół miliona. Latami pogardzani, lekceważeni, traktowani jak obywatele drugiej kategorii, nosili głowy wysoko, zaciskali zęby, a przede wszystkim ciężko pracowali. Własnymi rękami budowali to Miasto, o którym dziś mogą mówić z dumą, że należy także do nich.

Pamiętam swoją pierwszą wiosnę tutaj, pierwsze słoneczne, marcowe dni, pierwsze wyjazdy na Manhattan, do galerii przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie przyjęto mnie do pracy jako stażystkę. Pierwsze samotne wypadki na lunch, kiedy z kawą i kanapką siedziałam na ławce w Central Parku. Pierwsze chwile spędzane na obserwowaniu przeróżnych ludzi chodzących po nowojorskich ulicach. I nagle któregoś dnia – pandemonium! Zgiełk! Kobzy! Zielono malowane twarze! Tłum ludzi w przeróżnym wieku, sunący w opętańczej kawalcadzie w dół Piątej Alei! Krzyki i śpiewy towarzyszące temu zbiegowisku zagłuszyły kakofonię klaksonów, towarzyszącą gigantycznemu korkowi przy 57th Street i zamkniętej na czas przemarszu Piątej Alei. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

Trochę przerażający był ten hałas i chaos, rozpedzony ludzki potok pracy w dół Piątej, ale stałam, gapiałam się i byłam oczarowana, jak ci wszyscy, co też stali i gapili się na kolorowy korowód. Udzieliła mi się ich radość. Zanim jeszcze zrozumiałam, co to za okazja i o co tu chodzi, już czułam, że porywa mnie ta ich niesamowita, ognista muzyka, ich radość bycia sobą i ze sobą, ich zaraźliwy (choć pewnie w wielu wypadkach pijacki) śmiech. Zdarzało mi się później oglądać przeróżne parady najróżniejszych nacji, ale żadna z nich pod względem

tego nieprawdopodobnego klimatu nie mogła się równać z irlandzką paradą z okazji Dnia Świętego Patryka. I od tamtej pory, gdy po raz pierwszy zobaczyłam, jak można się cieszyć z rzeczy tak prostej i tak niezasłużonej jak własna narodowość, w moim umyśle złąły się w jedno wspomnienie dwie całkiem różne rzeczy: radość bycia sobą i bycie Irlandczykiem.

Czy jest coś takiego jak charakter naradowy? Świat – tak niesamowicie skomplikowany, wieloraki i zadziwiający – w jednej chwili staje się łatwo ogarnialny i prosty w obsłudze, jeśli będziemy sobie powtarzać ze ślepą wiarą i uporem, że „Niemcy nie mają za grosz wyobraźni”, „Rosjanie piją na potęgę”, „Żydzi to cwaniaki i oszuści”, a „każdy Francuz to erotoman i kobieciarz”, zaś „Amerykanie to zgraja hamburge-rożernych głupków”. Im dalej od miejsc, gdzie można spotkać prawdziwego Jankesa, Niemca, Francuza, Żyda czy Rosjanina i przyjrzeć im się z bliska, tym mocniej trwa mit „charakteru narodowego”. Jak gdyby raz wygłoszona bzdura zniosła wszelką potrzebę poznawania świata i ludzi.

Jeśli jednak charakter naradowy nie istnieje (rozmyślałam, jadąc metrem i przyglądając się kilku osobom, które z całą pewnością pochodzą z Kraju nad Wisłą), to jak wytłumaczyć, że po tylu latach spędzonych poza Polską poznają rodaków od pierwszego spojrzenia, i w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto się nie mylą? Rozpoznają ich po zaciętych, nieprzyjaznych twarzach i po minach naburmuszonych i za złe mających.

Nie umiemy się cieszyć – ani na co dzień, ani od święta? W takim pięknym Mieście to grzech się nie cieszyć. Gdzie jak gdzie, ale w Nowym Jorku życie jest naprawdę zbyt piękne, żeby ciągle narzekać, i zbyt krótkie, żeby od czasu do czasu nie być Irlandczykiem.

wracać? nie wracać?

Tylu ich znam, emigrantów żyjących każdą nogą w innym świecie. Takich, co jeżdżą do Starego Kraju na tak długo, jak długo pozwala im tam zostać status posiadacza zielonej karty: pół roku tu, pół roku tam. I takich, co są tu od wczesnej młodości, od dawna mają amerykańskie obywatelstwo i do ojczyzny jeżdżą tylko na wakacje, ale za to przez resztę roku żyją perspektywą tego wyjazdu. I takich, co by chcieli, ale nie mogą wyjechać, bo ich wiza dawno straciła ważność, więc wyjazd oznaczałby opuszczenie tego kraju bezpowrotnie. A oni siedzą tu nadal, nielegalni, obiecują sobie, że jeszcze tylko kilka tygodni, jeszcze kilka dolarów na koncie, jeszcze kilka niezbędnych spraw do załatwienia, miejsc do odwiedzenia – i już, koniec tej męki, wreszcie się spakują i wyjadą stąd na zawsze. Ale i jedni, i drudzy, i trzeci – jakkolwiek ich sytuacje dzieli milion lat świetlnych – kiedy myślą: dom, myślą o innym mieście, innym kraju. I choćby siedzieli tu niewiarogodnie długo, prędzej czy później wracają. Czasem dopiero na stare lata, ale jednak. Wyjeżdżają ci, którzy emigrację traktują jako stację przesiadkową, epizod, szansę na odkucie się, nauczenie czegoś, zobaczenie innego świata. Ale i ci, co pełni energii i ciekawości załamują się, kiedy bez względu na багаż doświadczeń i umiejętności w nowym kraju trzeba zacząć wszystko od zera. Wyjeżdżają zdolne, wykształcone dziewczyny, sprzątaczkki czy kelnerki zmęczone tymczasową pracą, która okazała się jedynym dostępnym sposobem zarabiania na życie, i ci, co po wielu latach, nierzadko wypełnionych sukcesami zawodowymi i osobistymi, nie potrafią odnaleźć się w kraju, który na zawsze pozostanie dla nich obcy. Czasem potrzebują dużo czasu, żeby zrozumieć, że Polska jest chyba jedynym krajem na Ziemi, gdzie obcych traktuje się lepiej niż swoich i że nawet długie lata przeżyte w innym

kraju nie gwarantują wpasowania się w długi ciąg ludzkich pokoleń, które ten kraj tworzą. Że nie wystarczy odpowiedzieć na wszystkie pytania w teście na obywatelstwo, żeby przynależeć, być u siebie. Są tu, w miejscu, które wybrali z takich czy innych powodów, ale bez względu na to, skąd pochodzą i co tu przeżyli, tęsknią. Za zbieraniem grzybów w lesie na Mazurach. Za domowym *dim-sum* i porą deszczową na Tajwanie. Za gremialnym szaleństwem małomiasteczkowych Oktoberfest. Za dziadkiem w Pendźbie, którego pewnie już nie zdążą zobaczyć. Za pewnym magicznym miejscem w miejskim parku w Seulu, o którym nikt nie wie. To zwykle małe rzeczy budzą najwięcej tęsknot. Ci, co mówią, że chcą wracać, nie używają wielkich słów. Mówią „mama”, ale nie „ojczyzna”. Mówią „przyjaciele”, ale nie „patriotyzm”. Mówią „domowy krupnik”, ale nie „tradycja”. Tych wielkich rzeczy, które są sumą małych, jakoś w nich nie widać. Dopóki nie wyjadą naprawdę, nie stopią się ze źródłem swoich tęsknot, nie powrócą do tego, co – choć może o tym nie wiedzieli – pozwala im czuć się częścią czegoś większego, stabilnego, dającego poczucie siły.

Ale znam też innych – takich, co zostali w Ameryce i pewnie zostaną już na zawsze, i żyją ponad tęsknotą, zadowoleni z losu przesadzonego drzewa. Najczęściej zostają ci, których trzymają tutaj mieszane małżeństwa i dzieci urodzone w Ameryce albo sukces w interesach czy nabyte nieruchomości. Nowa, kochana amerykańska rodzina zapewne daje równie mocne poczucie przynależności jak tamta pozostawiona w Starym Kraju. Pewnie jest w tym także coś z ciężenia rzeczy, które – raz zgromadzone – wytwarzają własne pole grawitacyjne, a ono trzyma mocniej niż stare tęsknoty.

Są i tacy, co nie mają tu nikogo, nie dorobili się niczego godnego wspomnienia, nie zasiadają w zarządzie żadnej z wielkich korporacji, a mimo to zostają, i nawet tęsknią mniej niż inni albo nie tęsknią wcale. Czasami dlatego, że świadomość mizerności ekonomicznej kraju, z którego przyjechali, jest wystar-

czająco silna, by nie mieć ochoty porzucić kraju masła orzechowego i taniej benzyny. Czasami dlatego, że boją się jeszcze raz zaczynać wszystko od nowa, tym razem w kraju, który powinien być bliski, a stał się obcy – bo nic nie stoi w miejscu, ludzie i miejsca się zmieniają; powstałe od czasu ich wyjazdu i zapętlone przez lata nici międzyludzkich zależności tworzą już sieć, w której nikt, kto nie uczestniczył w jej budowie, nie zdoła się połączyć. Czasami powrót świadczy o przyznaniu się do porażki, a ambitna dusza raczej pozwoli upokarzać się obcym w obcym kraju, niż znieść ironię i przytyki pobratymców. Czasami... och, jest tyle powodów, zupełnie różnych, czasem mądrych, czasem nie. A jednak nie zmienia to faktu, że tylko niektórzy potrafią zostać. Dlaczego?

Emigracja nie jest dla każdego – gdyby było inaczej, zapewne nikt z tych, co urodzili się w biednych lub miotanych niepokojami krajach, nie zostałby w miejscu swego pochodzenia. Nawet nie to jest najtrudniejsze, że wyjazd równa się długiemu okresowi wyrzeczeń, odkładaniu na bilet wszystkich zarobionych pieniędzy, niekiedy ryzykowaniu zdrowia czy życia, by dostać się do upragnionej, coca-colą płynącej ziemi obiecanej. I nie to, że bilet czasami bywa w jedną stronę. Najtrudniejszy jest krok, który wyrywa ze Znanego – ze wspólnoty pokoleń budujących wspólną rzeczywistość i język, obyczaje i prawa, historię i legendy. Wszystkiego, co pozwala czuć się bezpiecznie, móc liczyć na czyjąś pomoc w potrzebie, na czuły gest w smutku, słowo pociechy czy radę w zgryzocie. Ci, co zostają, częściej niż inni potrafią żyć ze świadomością nieustannego bycia Guliwerem w krainie Liliputów lub olbrzymów, odmieńcem, co – jakkolwiek często uznany za pożytecznego członka społeczności i w sumie porządnego człowieka – odmieńcem pozostanie. Nawet kiedy bez chwili zastanowienia odpowie na pytanie *Crunchy or smooth?* albo: *Yankees or Mets?* Nawet jeśli z niepoprawnie obcym akcentem wyrecytuje tekst *Star-Spangled Banner*. Ale jak dowodzą miliony przykładów, da

się żyć w taki sposób, i niekoniecznie trzeba się w tym celu zamykać w etnicznym getcie Chinatown, dzielnicy żydowskiej czy Little Poland.

Powtarzam często, że nie rozumiemy się zbyt dobrze – Ameryka i ja, mieszkanka najbardziej nieamerykańskiego miasta na amerykańskiej ziemi. Jest jednak coś, co nas łączy: Ameryka wierzy raczej w prawo ziemi niż w prawo krwi. Ktokolwiek wybrał jej ziemię na miejsce, gdzie narodzi się jego dziecko, automatycznie uczynił je amerykańskim obywatelem, niezależnie od tego, z jakiego kraju się wywodzi, w jakim mówi języku, do jakich bogów się modli. To prawie tak, jak pewna emocjonalna właściwość, którą dawno już u siebie zauważyłam: bardziej cenię sobie więzy wynikłe z wyboru niż te z niezależnego od mojej woli zbiegu okoliczności. Bardziej wierzę w przywiązanie wynikające z głębokiego szacunku do osób, których dotyczy, niż z biologicznego pokrewieństwa. Moich rodziców kocham dużo bardziej za to, że są cudownymi, prawymi i ciekawymi ludźmi, niż za to, że podarowali mi całkiem przyzwoity zestaw chromosomów. Ludzi, z którymi się wiązę, kocham za to, jacy są, a nie za to, że w ogóle są. Niby drobiazg.

Dlatego chcę mieszkać w moim nowym, a nie w Starym Kraju. Amerykę wybrałam nie dlatego, że daje więcej możliwości, choć pewnie to ciągle prawda. I nie dlatego nie chcę wracać do Polski, że wkurza mnie (choć wkurza do bólu) obserwowanie przy okazji przyjazdów miliona głupot życia codziennego albo głupich, małych i podłych polityków. I nie dlatego nawet, że będąc w Polsce, za każdym razem bezsilnie muszę patrzeć, jak najznakomitsze umysły mojego pokolenia, pokolenia trzydziestolatków, jeden po drugim biernie zgłaszają akces do generacji K – pokolenia milczących konformistów. I nie dlatego, że pączki u Bliklego nie tak już dobre jak kiedyś. Nie wracam, bo w odróżnieniu od pierwszej ojczyzny ta druga to sprawa wyboru, i choć kochać można obie, ta wybrana

miłość znaczy dla mnie więcej. Jakkolwiek zdarza się, jak to w życiu, czasem ubolewać nad konsekwencjami raz podjętych decyzji – to jest mój wybór: najpiękniejsza i najstraszniejsza konsekwencja bycia dorosłym człowiekiem. Dom mój będzie tam, gdzie sama się zmęczone, napłaczę i spoczę, by go od fundamentów zbudować, czasem błogosławiąc, a czasem przeklinając swoje wybory, ale zawsze powtarzając (a jakże, z ciężkim, obcym akcentem) może zbyt podniosłe w całej tej do gruntu zwyczajnej sytuacji zdanie pewnego nieżyjącego od dwóch wieków Amerykanina: *Give me liberty, or give me death**.

17th Street

„Jeżeli zwariowałem, nie mam nic przeciwko temu, pomyślał Moses Herzog”.

Jeżeli zwariowałam... Cholera, na pewno zwariowałam – pomyślałam, ciągnąc ciężką walizkę po posadzce terminalu odlotów na lotnisku Okęcie.

I tak się to wszystko zaczęło.

Nie, tak naprawdę nie zaczęło się od powieści Bellowa, choć może odgrywa ona w tej historii jakąś drobną, epizodyczną rolę. Przeczytałam ją chyba jeszcze na studiach i byłam zachwycona historią emerytowanego profesora, który pisze listy do różnych tego świata, a nawet do Boga, bo świat mu się nie podoba i chciałby coś z tym zrobić: wytłumaczyć tym, co zapewne nie dostrzegają, a mogliby zapobiec, zmienić, zaprzestać, naprawić. Przeczytałam, zachwyciłam się, a później zapomniałam, zapomniałam wszystko... z wyjątkiem jednego dręczącego, z pozoru nieistotnego szczegółu. Moses Herzog mieszkał w Nowym Jorku na Siedemnastej Ulicy.

* Zdanie pochodzi ze słynnej mowy Patricka Henry'ego (patrz Słownik).



17th Street

Jak to jest, że z ważnej książki, niesamowitego filmu, kochanej niegdyś twarzy zapamiętuje się taki dziwny szczegół? Po latach ulatuje z głowy fabuła, zapomina się nazwisko reżysera, zacierają się w pamięci dobrze znane rysy, a zostaje coś takiego, jak gwóźdź w znoszonym bucie, jak uparty żółty liść na nagim listopadowym jesionie. Bum: trafiony, zatopiony. To nie przypadek – to znak.

Zdarzyło się to, kiedy R. był w Stanach, a ja jeszcze w Polsce: któregoś razu, dręczona wspomnieniem nowojorskiego adresu Mosesa Herzoga, a może zmęczona tęsknieniem, poprosiłam mego przysłego męża, żeby opowiedział mi Siedemnastą Ulicę. Zbrojny w rozklekotany kieszonkowy dyktafon Panasonic, jeden z tych na maciupkie, nieporęczne minikasety, co to urywały się bez ostrzeżenia w najważniejszym momencie nagrania, wyruszył, by spełnić moją prośbę, i idąc przez czerwcowy nowojorski upał, opowiadał mi 17th Street: krok po kroku, kamień po kamieniu.

Absolutnie nic ważnego nie mieści się na Siedemnastej Ulicy. Brak na niej istotnych urzędów, wpływowych placówek kulturalnych, wziętych krawców. Pereł architektury nie stwierdza się. Gastronomia kuleje. Flora i fauna – złożone z rachitycznych platanów i wiekowych, skręconych przez reumatyzm oraz własny wredny charakter wrzaskliwych chihuahua – rozczarowują monotonią form i karłowatością postawy. Za jedyną atrakcję tej uliczki można uznać położone po jej zachodniej stronie trzy *thrift shops* – sklepy sprzedające meble tych, co wyjechali, futra tych, co umarli, wykwintne torebki tych, co się nimi znudzili: podarowane przez bogatych mieszkańców i sprzedawane na cele dobroczynne rzeczy używane w najlepszym gatunku. Na wschodnim odcinku zachwycić się można, przy sporej ilości dobrej woli, małym skwerem przy Second Avenue – zieleń na Manhattanie to zawsze atrakcja. Jednak przez większość swej długości, od West Side Highway po First Avenue, Siedemnasta jest ucieleśnieniem szarej przeciętności,

której jedyną ozdobą są ażurowe drabinki przeciwpożarowe wijące się po fasadach niczym blaszane serpenty.

Uwielbiam Siedemnastą. Chodzę nią, kiedy tylko mogę, po drodze czy nie po drodze, w słońce i w deszcz. Chodzę i nie mogę się nacieszyć, że naprawdę istnieje – moje pierwsze wspomnienie Nowego Jorku, nigdy niewidziane, znane tylko z opowieści nagranej na małej kasetce, co przyleciała do mnie zza morza.

Czy spełnione marzenia rozczarowują? Nie zawsze. Nie mnie. Nie te marzenia.

I tak się to wszystko zaczyna.

Codziennie na nowo, codziennie inaczej, codziennie zdumiewająco. Codziennie, a jednak niecodziennie do zawrotu głowy, do utraty tchu.

Idę chodnikiem w wietrzne piątkowe popołudnie, przemykając slalomem między ludźmi spieszącymi do swoich spraw. I myślę: nie musisz wyglądać olśniewająco. Nie musisz zdumiewać bogactwem. Nie musisz obsypywać mnie prezentami ani zabawiać wciąż nowymi dykteryjkami. Nie musisz budzić podziwu moich znajomych, kiedy przyjeżdżają, bo i tak mało mnie obchodzi, co myślą; ja znam twoje prawdziwe, ukryte piękno i wiem, że nie ma nic lepszego niż to, że jesteś tutaj, dla mnie, ze mną. I nawet jeśli nie mówię ci tego codziennie, wiesz przecież.

Kocham cię nad życie i codziennie bardziej, Siedemnasta Ulico.



Quo vadis, nowojorczyku?, 42nd Street